

Historia pewnego reportażu

31 października 2010

Pisanie artykułów do „Obywatela” wymaga nieraz sporej odporności fizycznej i psychicznej, zawsze jest pełne niespodzianek, a nierzadko – bywa istnym wariactwem.

* * *

Odrywam się od komputera i w półmroku usiłuję dojrzeć wskazówki zegara; jest po pierwszej. Zanim spocznę, rozważam, jak dotrzeć na dworzec. Autobusem nocnym będę jechał godzinę, taksówka kosztuje ok. 30 zł. Półtorej godziny snu piechotą nie chodzi i to przeważa szalę na korzyść „taryfy”.

Sen był krótki, ale podładował wewnętrzny akumulator, dlatego w pociągu trudno mi usnąć. Może przerabiając inny tekst zmęczone oczy i się zdrzemnę? Przecież rano muszę być przytomny... I tak, nocna podróż z Łodzi do Częstochowy upływa mi na pracy. Pociąg jest spóźniony, na przesiadkę mam dosłownie kilka sekund. Wskakuję do osobówki, zajmuję miejsce, wydaję gazetę znalezioną w pośpiesznym i pogrążam się w lekturze. Zaraz, coś tu nie gra – od 20 minut mój pociąg powinien być w drodze, a dopiero ruszył. Pytam sąsiadkę z naprzeciwka, czy to właściwy skład i otrzymuję potwierdzenie plus informację, że trakcja jest oblodzona. Pojawia się konduktor. Mówię, że w Katowicach mam tylko chwilkę na kolejną przesiadkę i pytam, co w sytuacji, jeśli nie zdążę. – Panie, a skąd pomyśl, że tamten odjedzie punktualnie? – dziwi się w odpowiedzi. Kiedy już PKP zostaną zreformowane na śmierć, będzie mógł spokojnie przekwalifikować się na wróżbitę: gdy dojeżdżam do stacji, mój pociąg od kwadransa powinien być w trasie, jednak widzę go na sąsiednim peronie. Puszczam się biegiem, wsiadam i podziwiam katowicki dworzec – przez kolejnych kilkanaście minut.

Ostatecznie udaje mi się jakoś dotrzeć do Bielska-Białej, gdzie przez dłuższą chwilę kręcę się po dworcu. Miał tu na mnie czekać pierwszy informator (znaki charakterystyczne: 180

cm wzrostu, brązowa czapka; były bokser, co powinno odcisnąć ślad na fizjonomii...). W końcu telefon: Panie redaktorze, będę chwilę spóźniony, potwornie ślisko jest dziś w mieście. W pociągu nie zmrużyłem oka, usiłuję więc znaleźć automat z kawą, by nieco rozruszać szare komórki. Nie mam fartu: w międzyczasie podjeżdża mój rozmówca. Zaprasza do auta, na samym wstępie informując: Pojedziemy w bezpieczne miejsce, by nikt nas nie mógł podsłuchać i żeby nas nie namierzyli. – Cholera! Trafiłem na wariata – przeklinam się w myślach za wybór źródła informacji i zaczynam obmyślać drogę ucieczki.

Wypadki toczą się szybko, mój interlokutor dość niespodziewanie okazuje się mówić bardzo sensownie. W sumie przywykłem do tego, że mocno zaangażowanym społecznikom nierzadko włącza się spiskowe myślenie – to efekt tego, jakimi metodami nadal zwalcza się „niepokornych”, którymi w wolnej Polsce są osoby sprzeciwiające się „restrukturyzacji” czy szkodliwej inżynierii społecznej. Chwilę po starcie z dworca znajdujemy się w jednym z dużych centrów handlowych. Pojechaliśmy ciut naokoło, by utrudnić życie ewentualnemu „ogonowi”. Zasiadamy przy kawiarnianym stoliku, tuż przy przelocie, gdzie każdy może przypadkiem przejść, ale nikt w sposób nie wzbudzający podejrzeń nie zatrzyma się na dłużej. Na wariactwo macham ręką, zamawiam upragnioną kawę i wyciągam dyktafon. – Pan wybaczy, ale powiem parę rzeczy, których wolałbym, żeby Pan nie publikował, a z takich sprzętów czasem „przypadkiem” coś się wydostaje – zastrzega mój rozmówca. Niepocieszony wyciągam kartki, długopis i zaczynam się zastanawiać: co ja tutaj robię? Może jednak wiać?

Mój informator jest działaczem związkowym, od czasów Pierwszej „Solidarności” konsekwentnie walczy o prawa pracownicze i interes kraju. Niedawno za swą działalność stracił pracę. Pokazuje mi dokumenty, snuje opowieść; wszystko przedstawia się spójnie i nawet jeśli trochę w tym megalomanii – wierzę mu, jest szczery w swej relacji. W trakcie rozmowy pojawia się dwóch chłopaków, którzy fotografują galerię. Bardziej jednak

przypominają pracowników ochrony, z aspiracjami do roli detektywów, niż artystów. Przyglądam im się, jeden zatrzymuje się blisko nas i wychylając przez barierkę uwiecznia coś znajdującego się w dole, drugi stoi obok i zerka w naszym kierunku. Mój rozmówca nie widzi ich ze swojego miejsca, podtyka mi pod nos kolejny dokument. Zerkam nań, a kiedy odwracam się ponownie – widzę wycelowany w siebie obiektyw. Speszony mężczyzna szybko odwraca się w inną stronę, po czym obaj niespełnieni „artyści” obracają się na pięcie i szybko oddalają. – I kto tu jest wariatem? – pytam samego siebie.

Na dworcu kupuję krokiety, które planuję zjeść w pociągu do Tychów, w drodze na kolejne spotkania. To dopiero pierwszy posiłek dzisiejszego dnia, wcześniej nie było czasu na jedzenie. Po drodze dostaję SMS-a: jedno z nich zostało odwołane, mój rozmówca wylądował w szpitalu. Drugie odpadło już wcześniej, z uwagi na tragedię rodzinną. Trzeci z rozmówców podczas spotkania odmawia udzielenia odpowiedzi na moje pytania. W złości wracam na dworzec. Miałem w drodze powrotnej odwiedzić redaktora naczelnego i u niego przenocować, jednak ponieważ skończyłem wcześniej – spokojnie pojadę do domu. Choć Remik nalega, twardo obstaję przy swoim, wsiadam w osobówkę do Katowic. Tam na dworcu zjadam zapiekanke i udaję się do poczekalni i kawiarni w jednym. Wystrój z epoki głębokiego PRL, zamawiam kawę. – Z ekspresu czy sypaną? – pyta kobieta za ladą. Dość nietypowa oferta, wybieram sypaną. Miałem nosa! Dostaję szklankę w plastikowym koszyczku, niezapomniany widok puszki z kawą na blacie i dwóch czubatych łyżeczek zmielonych ziaren. Lekcja historii kultury żywej, to lepsze niż skansen.

Wsiadam do pociągu, który odjeżdża z 40-minutowym opóźnieniem, pomimo iż właśnie w Katowicach zaczyna bieg. Obłodzenie trakcji sprawia, że z Zawiercia do Częstochowy – około 40 kilometrów – jadę ponad dwie godziny. Wściekam się, że nie zdecydowałem się na nocleg u Remika. Do Łodzi i tak docieram grubo po północy, już w pociągu mózg odmówił dalszej pracy,

mimo tego dogrywam jeszcze e-mailowo parę pilnych spraw z drukarnią, zanim położę się spać. Wreszcie!

Następnych kilka dni to liczne telefony, celem uzupełnienia wiedzy o korporacji, o której piszę tekst. Wszystkie zebrane informacje potwierdzają, że łamane i naginane są tam prawa pracownicze, a ludzi traktuje się jako przykry, choć niezbędny dodatek do produkcji. Wyposażony w solidny materiał dzwonię do rzecznika prasowego firmy. – Na anonimowe donosy nie będziemy odpowiadać – słyszę w odpowiedzi. Próby wydobywania jakiegokolwiek komentarza nie przynoszą rezultatu, ze swojej strony odmawiam podania jakichkolwiek personaliów moich informatorów, którzy zastrzegali sobie anonimowość. Pozostało już tylko zebrać wszystko, co wiem i nadać temu formę tekstu, który, jak się okaże, wzbudzi w Internecie ogromne zainteresowanie.

Oczywiście nie każdy dziennikarski wyjazd obfituje w aż tyle przygód. Czasem przy okazji zbierania materiału jest sposobność poznać zabytki, kiedy indziej większość niezbędnych informacji żmudnie pozyskuje się siedząc przy komputerze i telefonie. Zdarza się usłyszeć ciepłe słowo o swoim artykule, ale bywa i tak, że zadzwoni rozdrażniony kamienicznik, którego bandyckie praktyki nagłościliśmy. Jedno jest pewne: nie ma czasu na szybkie zestawienie się w fotelu i kapciach.

Autor: Konrad Malec

Źródło: [Obywatel](#)